

„Akropolis” T. Nowy Łódź 58/60

KURIER POLSKI



# z TEATRU

## AKROPOLIS

**P**RÓBY przypomnienia sobie o Wyspiańskim, który przed pół wiekiem zrewolucjonizował teatr nie tylko polski, pierwszy wprowadzając na desk sceniczne ówczesny twórczy prąd — secesję, dając dziś różne efekty, nie zawsze zadowalające.

Pół wieku dystansu to za dużo, aby nie zwiędły niektóre liście, nie uschły gałęzie zielonego niegdyś drzewa. Jednocześnie to za mało, aby mieć stosunek historyczny, jak do tradycji z dawna ugruntowanej i nienaruszalnej, powiedzmy do Kochanowskiego, pisarzy doby Oświecenia, Wielkich Romantyków. Krytyczna myśl sprzeciwu łatwo dochodzi do głosu, jako że każde następne pokolenie, będąc kontynuacją bywa także zaprzeczeniem czasów poprzedzających. Dopiero względem dalszej przeszłości buntowniczość traci podstawy, sens i rumieńce.

Dlatego „wskrzeszanie” tradycji sprzed kilkuset, albo tylko sprzed setki lat, jest łatwiejsze niż sprzed pół wieku. I dlatego w naszym czasie Wyspiański stał się jednym z najtrudniejszych zadań scenicznych, probierzem najwyższego kunsztu, ale także okazją do rozziwiania widowni. Dobrze powiedziałem: rozziwiania, gdyż właśnie na Wyspiańskim, którego pioruny padały ze sceny krakowskiej, najmocniej przed I wojną światową, dziś po II wojnie, jakże często część publiczności polskiej, zwłaszcza ta cofnięta w rozwoju humanistycznym — po prostu ziewa.

Trochę na siłę wprowadzony Rok Wyspiańskiego, choć nas uświadomił, że mnóstwo rzeczy w teatrze uważanych dziś za nowinki, do Ionesco włącznie, miało wyraźne preludia właśnie w secesji, dał nam przegląd widowisk, które budziły różne wrażenia.

Bywały więc widowiska gorsze, nieudane, które podkreślały anachroniczność wielkiego wczorajszego teatralnego wizjonera, obnażając także braki warsztatowe dzisiejszych aktorów w zakresie wiersza, zaś inscenizatorów w zakresie patetyki. Bywały lepsze, przygotowane z wielkim pietyzmem, jak choćby „Wyzwolenie” w Krakowie, w reżyserii Dąbrowskiego, dociągnięte aktorsko oraz inscenizacyjnie do miary wielkiego wydarzenia. Bywały takie jak „Noc listopadowa” w Łódzkim Teatrze Nowym Dejmką, które rozjaśniały teatralne niebo nagłą błyskawicą aktualności, ale one wszystkie domagały się od widza specjalnego wysiłku i nastroju. Widz musiał się poddać sugestii, że oto przeniósł się w czas Wyspiańskiego, lub znajduje się w czasie podobnym, że jest nie tylko sobą z dnia dzisiejszego, ale jest kimś siedzącym w krzesłach na autentycznych premierach Wyspiańskiego na jego „ogromnej” scenie, gdy obok, przedzielony tylko placikiem Świętego Ducha.

„Gdzieś przed siódmą  
wieczorem  
„Kościół kończył  
nieszporem...”

Ale, żeby cały czas czuć się żywym, współczesnym widzem, ani na chwilę nie zapomnieć o dniu dzisiejszym i jednocześnie pięć głębokim haustem dzwoniący jak spiżowy „Zygmunt” wiersz Wyspiańskiego w absolutnym scenicznym misterium, jakim jest jego „Akropolis”, zdarzyło mi się i chyba tylko mogło zdarzyć w Teatrze Nowym w Łodzi, gdy ta nie grana w Polsce od 1932 roku sztuka została pokazana na uroczystości związanej z dziesięcioleciem istnienia teatru, wchodząc do jego repertuaru.

Dejmek wziął rozpęd do najwyższej poprzeczki na jaką stać naszą dramaturgię i pokonał zadanie. Patetyczne misterium jakim jest „Akropolis” to rzecz z pozoru najbardziej sprzeczna z naszymi modami. A jednak zostaliśmy porwani, mimo gąszczu podtekstów, trudnych skojarzeń historycznych i bogactwa aluzji.

Jeszcze pierwsza część widowiska o tematyce „antycznej” skłaniała nas do smakowitego lubowania się w wyspiańszczyźnie przekazanej nam w szlachetnym wydaniu, gdy Wojciech Piłarski w roli Hektora, łączył patos z żądzą czynu. Ale druga część o tematyce „biblijnej” przemawiała nawet przy odrzuceniu naszej wiedzy o Wyspiańskim. Brzmiała jak czysty moralitet nawet dla tych, którzy by nie kojarzyli tekstu ani z tradycją dzieła, ani z inspiracją jaką dały Wyspiańskiemu postaci z gobelinów katedry wawelskiej, dziś jeszcze nie wróconych do swej siedziby. Zaś scena zaręczyn Jakuba, którego grał Tadeusz Minc, z Rachel, graną przez Barbarę Horawiankę, jest jednym z najpiękniejszych obrazów, na jakie stać teatr naszego czasu nie tylko w naszym kraju.

Najbardziej ryzykowny ton najwyższego dramatycznego patosu powierzony Sewerynowi Butrymowi jako Harfiarzowi, został najszcześliwiej przeprowadzony.

Podobnych akordów scenograficznych (Rachwański i Zaborowska) oraz inscenizacyjnych, godnych muzyki bachowskiej, zastosowanej w tym przedstawieniu, nie widzi się i nie słyszy często. Zaś teatr Dejmką jeszcze raz potwierdził, że jest teatrem nie tylko naszych najciekawszych osiągnięć, ale także teatrem wciąż ważącym się na ryzyko artystyczne, bez którego sztuka staje się nieuchronnie tylko rzeźmiosłem.

JERZY ZAGÓRSKI